

MICHAŁ OLSZEWSKI

zapiski na biletach

terra incognita



MICHAŁ OLSZEWSKI

(ur. 1977 w Ełku) – dziennikarz, prozaik. Dawniej redaktor krakowskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, obecnie pracuje w „Tygodniku Powszechnym”. Za reportaż *Przez dotyk* otrzymał główną nagrodę w konkursie „Oczy otwarte”, w 2009 roku nominowany do Nagrody im. A. Wojciechowskiego i Grand Press w kategorii publicystyka. Zadebiutował zbiorem opowiadań *Do Amsterdamu* (2003), następnie wydał tom prozy *Chwalcie łąki umajone* (2005) i powieść *Low-tech* (2009). Mieszka w Krakowie.

michalolszewski.blog.onet.pl

MICHAŁ OLSZEWSKI

**zapiski
na biletach**

Arkadij Babczenko
Dziesięć kawałków o wojnie. Rosjanin w Czeczenii
Max Cegielski
Pijani Bogiem
Oko świata. Od Konstantynopola do Stambułu
Barbara Ehrenreich
Za grosze. Pracować i (nie) przeżyć
Marc Fernandez, Jean-Christophe Rampal
Miasto – morderca kobiet
Peter Godwin
Gdzie krokodyl zjada słońce
David Grann
Zaginione miasto Z
Tony Horwitz
Błękitne przestrzenie. Śladami kapitana Cooka
Wojciech Jagielski
Dobre miejsce do umierania, Modlitwa o deszcz
Nocni wędrowcy, Wieże z kamienia
Tobias Jones
Sny o Utopii. Podróże w poszukiwaniu dobrego życia
Marek Kęskrawiec
Czwarty pożar Teheranu
Krystyna Kurczab-Redlich
Głową o mur Kremla

t e r r a i n c o g n i t a

Murat Kurnaz
Guantanamo. Pięć lat z mojego życia
Sven Lindqvist
Wytępić całe to bydło
Terra nullius. Podróż przez ziemię niczyją
Juliette Morillot, Dorian Malovic
Uchodźcy z Korei Północnej
Cees Nooteboom
Drogi do Santiago
Walerij Paniuszkin, Michaił Zygar
Gazprom. Rosyjska broń
Konrad Piskała
Sudan. Czas bezdechu
Åsne Seierstad
Księgarz z Kabulu, Dzieci Groznego
Kamila Sławińska
Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny
Tiziano Terzani
W Azji
Fabienne Verdier
Pasażerka ciszy
Xue Xinran
Dobre kobiety z Chin

MICHAŁ OLSZEWSKI

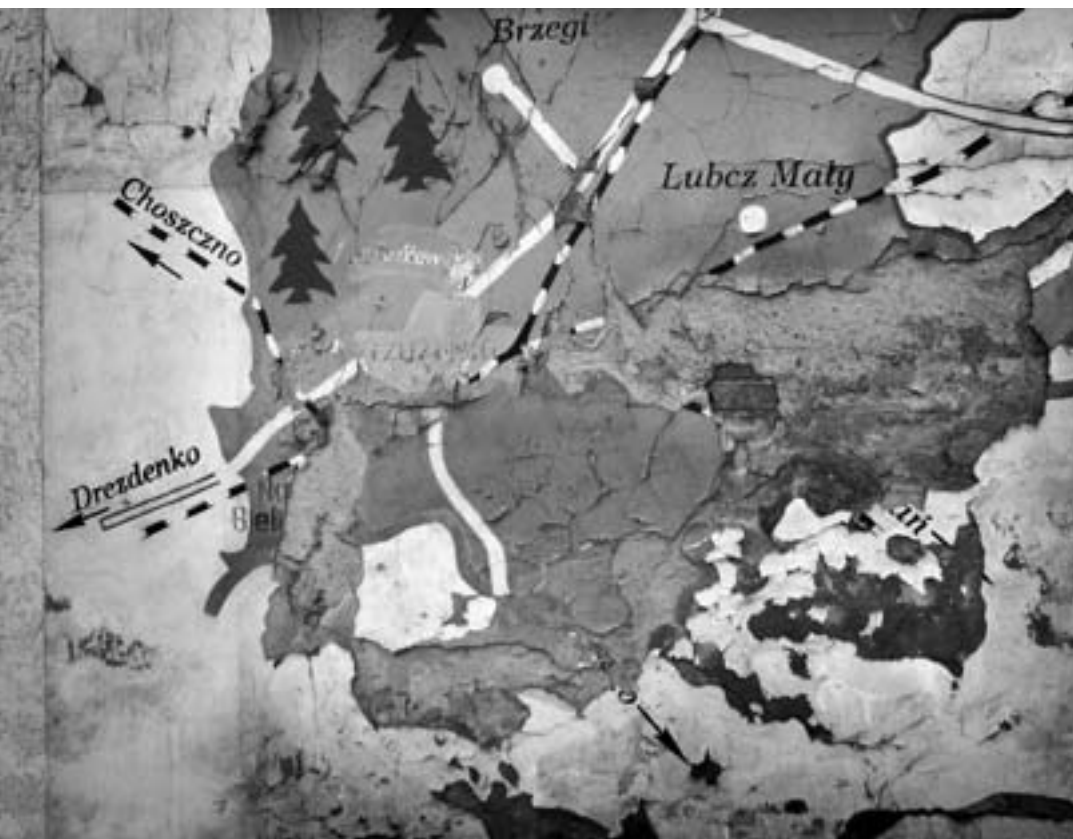
**zapiski
na biletach**



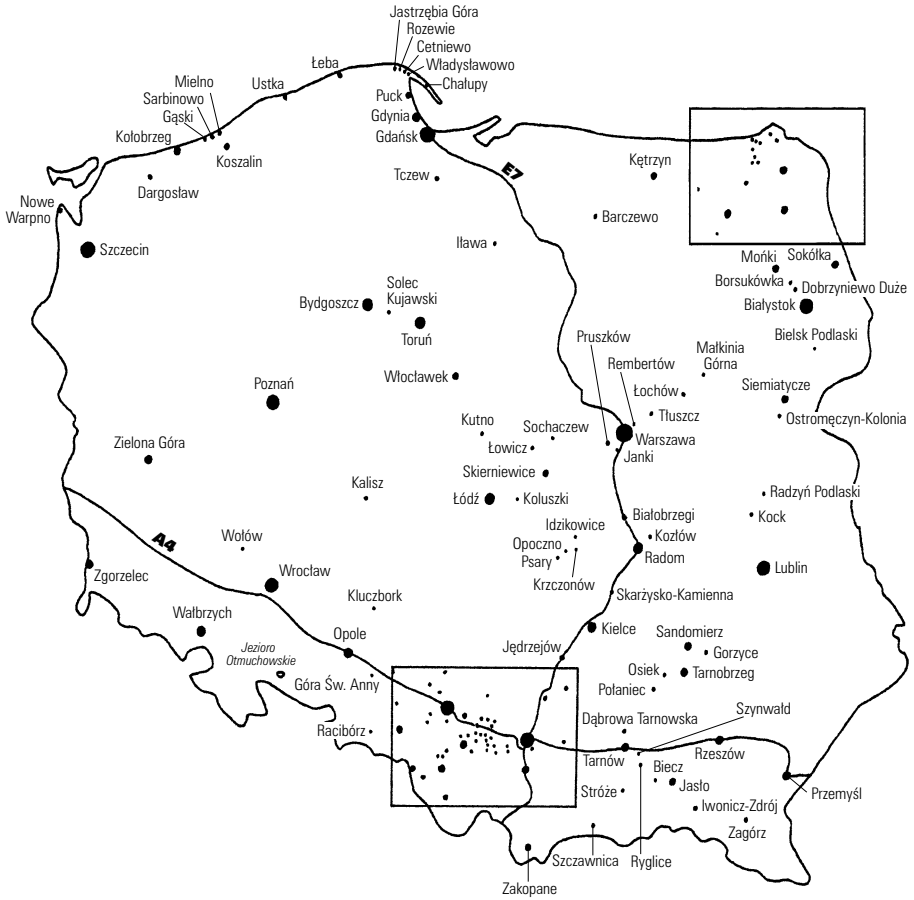
w
ydawnic
ab
two

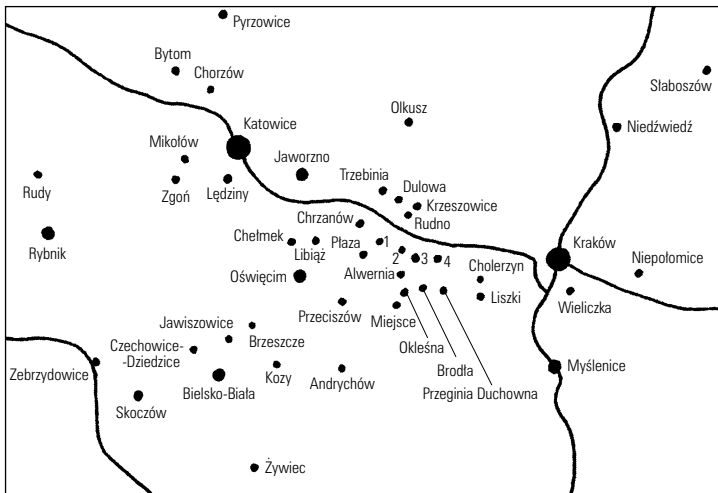
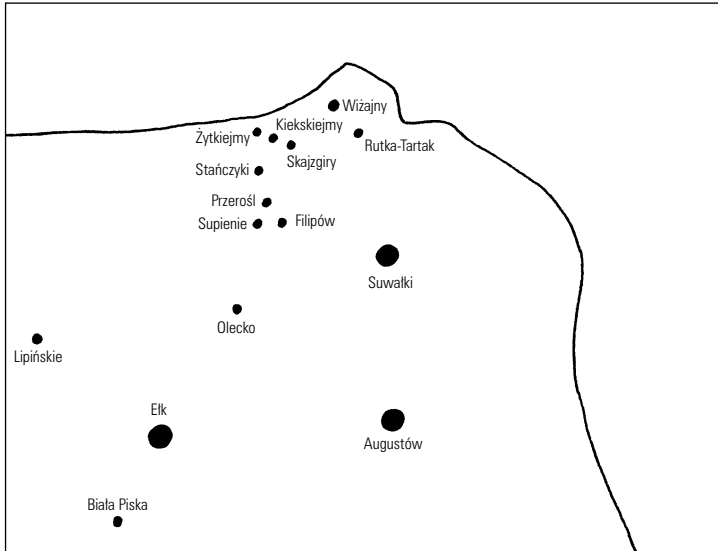
Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Wydanie I
Warszawa 2010



Krzyż 2007





- 1 Bołecin
- 2 Regulice
- 3 Poręba-Żegoty
- 4 Zalas

jazda polska

Dalej.

Są z pewnością gorsze zajęcia. Zarabiam na rozmowach z ludźmi, odwiedzam najpiękniejsze Nigdzie-kraje, a one z wdzięczności zwracają mi za podróż, przy pomyślnych wiatrach fundując nawet posiłek, niespodziewane przygody oraz noclegi.

Niedawno na przykład spałem w pokojach gościnnych przy wielkiej sali gimnastycznej, zielone ściany ktoś ozdobił pomysłem reprodukcją obrazu Kossaka, kaloryfer żeberkowy ciągnął się od jednej ściany do drugiej. Pościel wyglądała na brudną, ale wcale taka nie była. Pod nogami linoleum, zadawniony tłuszcz na ścianie. Ogólnie czysto, a mimo to podle. Podle, a jednak nieźle, chociaż nie oferowali nawet czajnika elektrycznego, a w pokoju i na korytarzach czuło się odwieczny zapach sali gimnastycznej, zapach potu i tenisówek przenikał ściany, na takim zapachu można pogalopować jak na rydwanie w czas przeszły, ale nie miałem na to ochoty. Za drzwiami chłopaki i dziewczyny przechodzili z szatni na trening i z powrotem, piłka do koszykówki klaskała lekko o podłogę. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić ich niewymiarowe obuwie, słuszny wzrost, brak proporcji oraz trądzik. Zima kończyła się powoli, więc miałem ciągle ochotę na herbatę, a nie oferowali w cenie choćby jednej saszetki zmielonych łądyg. Tak się zdarza i nie ma o co robić afery. Za to był telewizor, najlepszy lek na wieczór, a nad telewizorem zwisała sztuczna roślinność. Sztuczne kwiecie pleniło się też bujnie na korytarzu, co ozna-

czało, że nie zbaczam z właściwego kursu i zmierzam nadal w kierunku sedna tutejszej tajemnicy, nie do końca przekonany, czy jakiegokolwiek sedno istnieje. Mam pewne podejrzenia, ale wolę ich póki co nie zdradzać. W każdym razie spałem tam, Wołów miejscowość się nazywa, zapamiętać koniecznie, prapiastowska macierz, resztki murów obronnych, paskudny kryminał, ta sala gimnastyczna, OSiR, czyli Ośrodek Sportu i Rekreacji, naprawdę przeżywałem kolejne przygody – firanki z bistoru, podwieszany sufit nad recepcją, chińską pościel, zieloną lamperię – i nie było najgorzej. Tylko trochę chłodno.

Bowiem nadal jeżdżę i kolekcjonuję, zbieram okruchy świata, nie próbując na siłę sklejać ich w całość. Wrzucam do poszczególnych szuflad swoje skarby, a potem wyciągam, niżej na sznurki, mantry z tego powstają chaotyczne albo różańce, litanie klepane z miłością i odrazą jednocześnie.

Jest już tego sporo. Choćby „b” jak burmistrz. Rozkładam się przecież wcale często biwakiem w pomieszczeniach urzędników samorządowych niższego szczebla, tam, gdzie wybaczą ubłocone buty, wymięte spodnie, tam, gdzie zielonkawę verticale na plastikowych sznureczkach, gdzie częstują herbatą albo kawą w szklankach, gdzie tanie meble, pamiątkowe dyplomy, godło, a na szafach proporczyki z zaprzyjaźnionych miast, z innego Nigdzie. Oni opowiadają o swoim strachu przed powodzią, w powietrzu fruują dane z opieki społecznej, próbują być wzorowymi urzędnikami, kładą asfalt oraz kupują kredę, a jednak ciągle wychodzi z nich zwykły człowiek, który drży przed klęską żywiołową, siorbie, kocha w nienowoczesny sposób swój powiat i źle się czuje, wyjeżdżając do stolicy województwa. Jest w tej miłości do kawałka ziemi coś imponującego. Są więc ludzie, z których *reisefieber* nie wyciska ostatnich potów. Są tacy, co im się nie spieszy gdzie indziej. Coraz rzadsza umiejętność.

Albo szuflada z przygodami kulinarnymi. Trzeba coś jeść po drodze. Niektórzy zabierają ze sobą kanapki przygotowa-

ne w domu i to jest największy błąd, unikanie popasów w tych wszystkich przerażająco wesołych miejscach, gdzie na stołach lądują potrawy z mikrofal, ozdobione szemraną galanterią gastronomiczną, w barach, gdzie muzyka gra zbyt głośno, szumi telewizor, a prezenter drze z udawaną szczerością mordę: Skąd dzwoniś? Z Jasła, Jaworzna, Jastarni, Jelonek, Jeleniej, Jeleniewa? Niemożliwe, miałem tam kiedyś dziewczynę czy chłopaka, ty, nie pamiętam. Wygrałaś, wygrałeś w każdym bądź razie, dwudniowe wczasy w Egipcie, ja pierdołę, wygrałeś nagrodę, dywan i komodę, powiedz nam teraz, jak się cieszysz. Drze mordę, a tu pozór elegancji, sztuczny kwiat, płonie sztuczna belka w fałszywym kominku, do potrawy plasterek pomarańczy, wcięty fantazyjnie w plasterek ogórka, z plastiku żurawina, tanie meble made in China, płoną butelki z alkoholem oświetlone światłem halogenów. Jeśli jesz domowe, albo w dobrych lokalach, oszczędzasz żołądek, ale intymną bliskość z otoczeniem osiągnąć wtedy znacznie trudniej.

Albo „d” jak droga. Patrz: śmierć.

Na drogach śmierć zagląda w oczy, regularnie, ma niezłe auto i strasznie jej się spieszy, bo kredyt, bo raty, bo dziecko odebrać ze szkoły, towar się psuje, szef wkurwiony, robotnicy oszukali, ona odchodzi, on wraca. Potem strażak z miotłą sprząta szkło w ciemności, niebieski kogut świeci mu po kaszku, znowu się udało, znowu nie ja, nie my.

Sposób na życie. Pociąg do cudzych domostw, podłego żarcia, podglądanie świata, jaki toczy się w jadłodajniach, biurach, na parkingach i drogach. Zmęczenie podróże. Niezręczne słowa w biurach, udawany luz w zakładzie fryzjerskim Prestiż w Ryglicach, gdzie zaglądam, żeby wypytać o coś dla mnie istotnego. Tysiące zdumień, choćby pod Dębicą, tam, gdzie kusi reklama masarni Miraż, a zaraz po niej zaprasza podobno największa w kraju hurtownia odzieży Giewont. Swoją drogą, czemu Giewont, do cholery, a nie Rysy, czemu Giewont w ogóle zamiast Żorzeta czy jakoś tak? Niezmierzo-

na jest pomysłowość moich rodaków. Nie ma jak zasnąć, nuda nie zagraża, zmysły wystawiane są na próbę na każdym kroku. Co tu jest naprawdę, a co na niby, jak znaleźć drogę wśród miraży? Jak się zorientować?

Zapach sztucznej roślinności mnie prowadzi. Bary i miejscowości przekazują jedne drugim. Plastikowy bluszcz, a na deser żurek domowej roboty z torebki.

Co krok przygoda.



Podobno przychodzi do nas ta umiejętność w trakcie niebezpiecznych podróży.

Ale nie w środku dżungli Borneo czy po walce z rozwścieczonym gorylem. Mowa o wyjazdach znacznie trudniejszych, zwykłych jak bułki poranne z polepszaczem smaku. O tym, co napiera na robotników drukarni w autobusie nr 125 z krakowskich Rybitw, o tym, co czyha w nocnym osobowym do Trzebini, w przedzierającym się przez grudzień busie relacji Kraków–Bochnia albo podczas oczekiwania zimowym przedświttem na pierwszy autobus z Będzina do Sosnowca.

Uczymy się wówczas snu.

Przychodzi, kiedy chce, spada na głowy jak torba foliowa. Otula i dusi. Zamykają się oczy, organizm otrzymuje kilka minut wytchnienia. Zасыpia na stojąco żołnierz w korytarzu pociągu, dolna szczęka powoli się odchyła, ukazując zęby, głowa leci w bok. Organizm odpoczywa, a jednocześnie tkwi w stanie czuwania. W busie do Bochni milkną rozmowy, deszcz ze śniegiem uderza w szybę z jednej strony, z drugiej głowy odskakują jak piłki. Przysypiają na pięć minut kolejarze w drodze do Trzebini. W autobusie nr 125 chłopcy w skórzanych kurtkach śpią z otwartymi ustami. Podsypiają dziewczyny w fioletowych pończochach, w drodze z dyskoteki do domu. Czasem z kącika ust płynie nam nieestetyczna ślina, czasem człowiek zасыpia na dziecięciu, a czasem na karpia.

Dziwny stan, dwuznaczny anioł nad głowami. Sen, który wybiera uprzywilejowanych podróżników, tych, co kładą się

całymi latami odrobinę za późno i wstają nieco za wcześnie, tych, co przekładają z miesiąca na miesiąc odpoczynek, bo fucha, bo zmiana, bo trzeba pojechać, pogadać, bo są sprawy do zrobienia na wczoraj. Niezdrowe zamroczenie, pięć minut wolności od świata, wycieczka skrajem prawdziwego wypoczynku, rozpaczliwa próba zregenerowania sił. Mówią, że można spać w marszu, że są kierowcy tirów, którzy zasypiają za kierownicą, a mimo to jadą prosto, nie do końca oderwani od rzeczywistości. Wpadamy w zawieszenie, nigdzie nie będąc do końca – z jednej strony coś niby mający, jakiś sen, nowe obrazy, a z drugiej obowiązki przytrzymują za fraki. Prawdziwy sen kusi i wsysa coraz mocniej, ale nie można zasnąć zbyt głęboko, żeby nie obudzić się z pustymi kieszonkami. Twarze bledną i ściga nas stan podgorączkowy. Ten taniec podróżników powszednich ma w sobie coś z głębokiej choroby, wyniszcza i szarpie. Kapie ślina, chłód wślizguje się pod kurtkę albo alkoholowy pot płynie po karku.

Nagle powrót. Auto podskakuje na większym wyboju albo pociąg hamuje z piskiem, niebieski błysk iskry z pantografu kaleczącego trakcję wbija się pod powieki. Wychodzimy z tej awantury z obolałymi głowami i poczuciem trudnej do spreycyzowania utraty. Odeszło coś naprawdę ważnego, coś, co za ledwie przemknęło bokiem. Rozmyło się.

Im bardziej wycięzasz pamięć, tym szybciej zmyka.



Kraków 2009

Flamingo

Nie pamiętam, kiedy wyrosło przy drodze do Alwerni to zjawisko. Ale zadurzyłem się w nim od razu. Choćby pełna tęsknoty nazwa – Flamingo. To temat na długą rozprawę, dlaczego po wioskach i miastach tyle egzotycznych nazw zaprasza spragnionych wędrowców. Flamingo, tak, ciepłe kraje na wyciągnięcie ręki, filmy przyrodnicze z przyrodą w pełnym słońcu, kraje bez eternitu, gnojówki, traktorów, tylko ptaki nad płytkimi zatokami, żadnych zmartwień na ekranie telewizora nie widać, żadna susza nie grozi ani żaden grad nie wytłucze zasiewów rzepaku. Flamingo niedaleko Alwerni, jej zakładów chemicznych, góry toksycznych odpadów i problemów z bezrobociem.

Flamingo składa się z plastikowych okien oraz blachodachówki. Wewnątrz parkiet na kilkadziesiąt osób, a nad parkietem baloniki, wstążki i ruchome kolorofony. Barek z alkoholami jak ołtarz dla spragnionych. Można zjeść flaczki, fasolkę, pstrąga albo schab z grilla, zgasić peta w chińskiej popielniczce. Nie ma strusiny ani mięsa flaminga. Flamingo przyciąga wściekle różowym neonem, intensywną żółcią elewacji. Powinienem się przyzwyczaić, a jednak widząc taką erupcję nowego wśród domów z dachem kopertowym i zieleni średnich szerokości, nadal czuję zdumienie. Bo jest to jawny i uzasadniony protest przeciwko wszystkim niepogodom, jesieniom rozpostartym od października do kwietnia. Przeciwko mgłę, pustce sobotniego wieczoru. Ktoś wybudował w Porębie Żegoty latarnię morską. Można się w niej bawić, urządzić wesele

Najłatwiej byłoby Flamingo wyśmiać. Zrobić ostrą polewkę z PCV, kolorofonów i różowych snów młodzieży z Poręby Żegoty, Kaszowa, Nowej Wsi Szlacheckiej, Okleśnej czy Mirowa, młodzieży, która w lokalu tym odprawia tańce godowe, cieszy się, marzy o wyjeździe, a w chwilach szczególnych może nawet wali się po gębach. Że to nie tak, że zbyt intensywny kolor, że flamingi nie pasują do flaczków i jeszcze ten plastik w oknach.

Ale po każdej takiej wizycie rośnie we mnie wątpliwość, czy mam prawo narzucać obcym ludziom swoje sny o kraj-obrazie idealnym, bez nadmiaru polakierowanej blachy, dachu złamanego na wszystkie strony świata, niby-okien.

podróż z widokiem na wstyd

Wskoczyłem w ostatniej chwili, objuczony zakupami ze spożywczego Harnaś. Pociąg ruszył, powoli wwiercając się w noc, za nami światła i ścisk Zakopanego, za oknem góralskie wille z lawendową poświatą telewizorów, chłód nadciągającego października i całkiem już wyraźny rój Plejad nad horyzontem.

Nie zapaliliśmy światła, żeby nie obudzić zmęczonego uciążliwym szlakiem dziecka. Ani też, żeby nie przyciągnąć uwagi kozaków z Nowego Targu, którzy chcieli wyjść na chwyjne solo z konduktorem. Konduktor wezwał policję, ale policja akurat nie miała auta, żeby dojechać na stację w Chabówce.

Tatry minęły nieodwołalnie i na najbliższych kilka tygodni, a ja, mimo półmroku, zobaczyłem wyraźnie szczegół, który sprawił, że z kolejnej zapomnianej skrytki w pamięci wysypała się zawartość: na ścianie działowej pomiędzy naszym przedziałem a WC widniał nieco jaśniejszy prostokąt z cienkiego drewna. Schludny implant w październiku.

Było bowiem tak, że pierwsze przedziały wagonów zawsze nosiły na sobie piętno podglądactwa. W ścianach widniały dziurki i dziureczki, wykonane, bo ja wiem czym – wiertłem, gwoździem, wryte może cyrklem przez zdesperowanego uczniaka.

Czasem zdarzały się i takie miejsca, w których październik nosiła ślad pięści, jakby zakręcony erotycznym obłędem podglądacz za wszelką cenę próbował wybić dziurę w ścianie. Dziurami straszły również kąciki „higieniczne”, teoretycznie służące do mycia rąk. Z dziur tych sączyły się w nocy strużki

światła. Czasem, gdy natręctwo erotomanów było już zbyt widoczne, do akcji wkraczały ekipy remontowe, zaklejając prześwity prostokątnymi kawałkami drewna, takimi właśnie jak wzmiankowany, w pospiesznej relacji Zakopane–Szczecin. A na ich miejsce powstawały nowe.

– Tak, tak – pokiwałem głową. – Idzie ku lepszemu, wyraźniej idzie. Jeszcze nie tak dawno ta ścianka byłaby dziurawa, jakby ktoś przeciągnął po niej serią z pepeszy, a teraz proszę. Dziur nie ma. Była jedna, ale i tę zalepili. Znak, że naród nasz nie nurza się już w brudzie moralnym, nie podgląda jak byle zboczeniec. Ma inne rozrywki i nie musi się tak upadlać.

– Zaraz, zaraz – zaprotestował energicznie siedzący naprzeciw współtowarzysz. – Ty pobiegłeś w Zakopanem po piwo, a my tu... zatkaliśmy... papierem od kanapek...

Odsunął się nieco i sięgnął za siebie. Szarpnął. W dłoni pozostał mu gruby zwitek papieru. Ze szpary, przez dziurę o poszarpanych brzegach, leniwie wpłynął do przedziału jareniowy blask.

Słaboszów–Haarlem: portret grupowy

Zapewne ustawiam się w długiej kolejce petentów, którzy chcą przed nią przykleknąć, pochylić na moment z szacunkiem głowę. Przed siłą doświadczenia, która sprawia, że w miarę upływu lat w umyśle powstają coraz częściej niespodziewane korespondencje, a odległe zdarzenia nakładają się na siebie. Siła doświadczenia sprawia, że zwykły jesienny świt, który łapie cię w środku równiny pod Radomiem, zmienia się w zdarzenie warte uwagi. Oglądasz wczesny poranek, chłodny i w barwach stali, nadal są w tobie zachwyt i niepokój, ale cicho inna, niegdyś nieobecna nuta się wkrada. Świadomość, że coś tam już wiesz. Że ten chłodny świt to nie pierwszozna. Były przecież inne dawne świty wczesną jesienią, na biwakach, przy drodze, na trzeźwo i w amoku, w Polsce i gdzie indziej, był chłód, stary śpiwór. Któregoś razu wziął cię o trzeciej nad ranem z wylotówki w Jankach sprzedawca opłatków, w starym wartburgu oglądaliście, jak słońce z trudem podnosi się do kolejnej rundy. Były balety wrześniowe, całe doby bez snu, puste miasta, pierwsze autobusy. Wszystko się łączy, coraz gęstsza wokół sieć. Pokój hotelowy w Wołowie odsyła do miejscowości Szajdon w Tadżykistanie, mają tam dom gościnny bez wody, z pokrwawionymi prześcieradłami i porzniętą nożem ceratą na stołach. Wołów, Szajdon, pokoje hotelowe w Rzymie, Amsterdamie, Gdańsku i Nowym Jorku. Pod Berlinem rosną identyczne ogródki działkowe jak w Krakowie. Tak powstaje doświadczenie. Nie ma ono nic wspólnego ze znużeniem, ciągle chcesz pożreć wszystko, nadal nie dość świtów

daleko od domu, ciągle zbyt mało światła jesieni w oczach. Ale pracujesz nad tym mocno.

Tak jak w Słaboszowie. Do miejscowości tej, położonej na północno-wschodnim krańcu województwa małopolskiego, zdecydowany kawał w bok od szosy krajowej, dotarłem w niedzielny poranek. Mimo wczesnej godziny na głównej ulicy wrzało jak w ulu. Wte i wewte przesuwały się brygady rozochoconych strażaków, w hełmach, a nawet bez, w porozpinanych mundurach. Stąpali dumnie w kierunku baru i z powrotem, jakby wąska uliczka była wybiegiem na konkursie piękności, miękkie podeszwy chińskich trampek bezszmerowo przyklejały się do asfaltu.

W południe udałem się na sumę. Słaboszów należy do tych miejscowości, w których nadal można zobaczyć zapomniany zwyczaj: na mszy mężczyźni zajmują miejsca po lewej stronie, kobiety zaś po prawej.

Pod jedną ze ścian siedziało siedmiu leciwych rolników. Wszyscy w garniturach, śnieżnobiałych koszulach i pod krawatem, zwrócenie twarzami w stronę ołtarza, w absolutnym bezruchu i zamyśleniu. Poorane bruzdami czoła, wzrok tępy lub bystry, nosy orle obok kartoflowatych. Który z nich walczył w partyzantce? Który siedział cicho? Bładość mieszała się z buraczkową czerwienią policzków, łysiny walczyły o lepsze z gęstą siwizną. Arystokratyczna zaduma ramię w ramię z chłopskim sprytem. Przesiane przez witraże światło majowego południa łagodnie wybieliło twarze, jakby padał na nie odbłask dalekiej wieczności. Mimo że oderwani na moment od pługów i oborników, zmienili się w byty nie całkiem rzeczywiste, bliższe sferom niebieskim niż gminnym zawodom strażackim.

Identyczny odbłask widziałem w ukrytym na obrzeżach starej części Haarlemu muzeum, wśród stylowych kamieniczek z czerwonej cegły, w krajobrazie wysprzątanym co do okrucha, bez chińskich trampek i członków OSP. Wisi tam obraz

pędzła Jana van Scorela: na obrazie miejscowi rycerze, którzy wyruszyli w podróż do Ziemi Świętej, a jakby tego było mało, wrócili z niej szczęśliwie. Z ciemnego tła wyłaniają się twarze chytre, złe, uczciwe, lica mężczyzn skłonnych do gniewu lub romantycznych uniesień. Patrzą w jedną stronę, jak chłopci ze Słaboszowa. W dłoniach palmy – symbol przynależności do grona wybranych. W oczach zamyślenie. Na twarzach obce, zupełnie nietutejsze światło.

Słaboszów i Haarlem. Tak blisko siebie, że zaciera się prawie pięćsetletnia przepaść i dystans wielu kilometrów. Te same, niezmiennie uczucia wymalowane na twarzach, mimo że – wiele na to wskazuje – żaden ze słaboszowian do Ziemi Świętej nie dotarł.

koniec narracji

Pałiło słońce, jak zawsze w dzień tej rocznicy. Dorośli Cyganie siedzieli na krzeselkach i ruinach obozowych baraków, a nieufne cygańskie dzieci kucaly w trawie. Pod pomnikiem upamiętniającym likwidację romskiego obozu w KL Birkenau trwał właśnie dyplomatyczny obrzęd. Postacie w garniturach podchodziły do mikrofonu, żeby wyrecytować te same formułki, co rok i pięć lat wcześniej. Postacie w garniturach mówiły o niewyobrażalnej zbrodni, o największej hekatombie w dziejach ludzkości, o istnieniach ludzkich startych w proch przez maszynę nazizmu. Ludzie ludziom zgotowali ten los. Nie dopuścimy, by zło zatriumfowało raz jeszcze. I tak dalej.

Coraz głębiej wżera się we mnie ta wątpliwość, podczas każdego właściwie wyjazdu na oficjalne uroczystości w KL Auschwitz-Birkenau. Jak mówić o wojnie i obozach koncentracyjnych? Co zrobić, by z tych słów, słów potrzebnych, ale wyrzucanych od lat przez tysiące gardeł, nie wiało pustką, żeby nie dudniły głucho jak puste tekturowe pudła? Czy jest szansa, by ta stylistyka nabrała znowu mocy? Przy okazji kolejnych rocznic spod pomnika ofiar płyną w świat słowa, które tracą siłę i znaczą coraz mniej.

Inaczej pewnie być nie może. Mijają kolejne dekady i rocznice, coraz dalej jest wojna i coraz mniej jej uczestników żyje wśród nas. Słowa o okrucieństwach wojennych przestają poruszać. Tym bardziej że coraz rzadziej wypowiadają je bezpośredni uczestnicy tamtych wydarzeń – jedyni, w których głosach pobrzmiewa wyraźne echo wojny. Główną rolę przejmują

specjaliści od rocznic i dobrze przygotowanych wystąpień – prezydenci, premierzy, politycy tego i owego szczebla. Ktoś w końcu musi to robić. O wojnie mówią tak samo sprawnie, jak o podatkach i zagrożeniu powodziowym. A że wieje z tych słów pustką, że nie ma w nich emocji i prawdy? Inaczej pewnie być nie może. Ktoś musi to robić.

I ktoś powinien tego słuchać. Takie są reguły społecznej gry w pamięć. Niech mówią byle co, niech tektura i wata wychodzą spod tych słów. Najważniejsze, żeby jakakolwiek forma pamięci pozostała.

Czasem jednak trudno wytrzymać stężenie sztuczności w obozowym powietrzu. Podczas ostatniej uroczystości nie dałem rady. Odbiłem w bok, pomiędzy ruiny baraków. A tam, w pokruszonym betonie, na przyzmach cegieł, przy resztkach kominów i pod ścianami, kłębią się nadal historie. Leżą tam pogrzebaczki i wygięte od gorąca zawiasy, stare gwoździe, zjedzone przez czas szufle wyglądają jak sitka, na ścianach widać ślady ognia. Podłubiesz w ziemi i wygląda z niej kawałek porcelany z napisem „Waffen SS”. Co to było? Gdzie indziej potłuczone butelki z niedzisiejszego szkła – na brudnozielonym ułamku widać napis „Trieste” i wybitą mapę Adriatyku.

Za moimi plecami delegacje składały symboliczne wiązanki kwiatów i deklarowały, że już nigdy więcej człowiek człowiekowi.

Dłubałem w wilgotnej ziemi, a ona, lekko poruszona palcami, zaczynała opowiadać.

piekło pisarzy

Sten Wennlo *Mitt Liv Med SAAB*, Vladimir Dudinstev *De Vita Waderna*. I jeszcze Gunilla Linn Persson *Människor i högt gräs*. Także Hadley Irwin, Javier Tomeo i Emanuel Larvere. Dzieła wszystkich tych prozaików oraz wielu innych znajdziecie Państwo w sieci sklepów Ikea. W przeciwieństwie jednak do całkiem niezłej kiełbasy z łosia, cydru bezalkoholowego, regałów, poręczy, materacy samopompujących i kieszeni na pilota znalazły się tam nie po to, by je kupić. Książki pełnią funkcję eksponatów, nadają regałom pozór życia. Wypełniają karnymi rzędami szafki i półki zestawów meblowych. Pewnie nawet istnieje w tym zaplanowanym co do milimetra sklepie osoba odpowiedzialna za wygląd tych książek, ktoś, kto każdego ranka odkurza je miotelką i ustawia jak należy. Wystarczy wziąć do ręki dowolny egzemplarz, by przekonać się, że tych kartek nie tknęła ludzka stopa. Strony czyściutkie, niewyszmelcowane, to nie są książki zacytane, kupione z siódmej ręki, z zatartą okładką i porwanymi od emocji stronami, które spełniły swoją rolę, a teraz godnie wchodzi w wiek emerytalny. To są książki nikomu niepotrzebne.

Jeżeli istnieje piekło pisarzy, jakiś wewnętrzny krąg, w którym wszystkie gryziopórki smażą się w kotłach, jęczą, beczą i łkają, to Ikea jest jego bramą. Do tych książek można by wkładać karteczkę z napisem „Przeze mnie droga w miasto utrapienia”. Wyobraźmy sobie Javiera Tomeo, jak traci zdrowie i nerwy nad maszynopisem, jak sypie mu się z powodów literackich życie rodzinne, nie chodzi na grilla do przyjaciół,

rezygnuje z wycieczki na Synaj. Brzuszek rośnie, oczy wychodzą ze zmęczenia z orbit, pisarz w świętym zapale zapętnia kolejne stronicie, szepcząc: „Tak, tym razem się uda, czuję, czuję, że nadchodzi arcydzieło, sława wielka i splendor”. Ogród zarasta, pomysły roją się w głowie. Czcionka za czcionką, zdanie za zdaniem, coraz bliżej sławy.

Potem książka wychodzi na światło dzienne z brzucha wydawnictwa, mijają kolejne dni, tygodnie. Cisza. Ani wyrazy uwielbienia, ani też szydercza krytyka nie mącą spokoju. Nadzieja wędnie. Świat sunie swoim torem.

W końcu entuzjastyczny telefon od zaprzyjaźnionego hurtownika: „Chłopie, coś drgnęło, naprawdę coś drgnęło, wszystkie twoje książki mi przed chwilą wykupili i proszą o jeszcze. No, w końcu. Nie wiem kto, ale wyglądają na zachwyconych. Mówią, że to wspaniała pozycja”. Tak, w końcu radość wielka, hiszpański pisarz Javier Tomeo jedzie na Synaj albo odwiedza Kornwalię wczesną jesienią. Módlmy się, bracia i siostry, żeby w drodze nie naszła go ochota do zwiedzania ekspozycji schludnych kanap i mebli.

Duże miasta i zapadłe wioski, przypadkowi towarzysze podróży, urzędy gminne, pobocza... Polska Michała Olszewskiego jest bliska i egzotyczna zarazem. Znajome przenika się z obcym, oswojone miesza się z nowym, powaga przechodzi w groteskę. W poszukiwaniu nowej polskiej tożsamości autor odkrywa peryferie, zakamarki i detale zazwyczaj niedostrzegane. Polska z *Zapisków* to drażni, to znów wywołuje melancholijny uśmiech, zaskakuje i ciekawi bardziej niż niejeden daleki kraj. Wystarczy złapać stopa, wsiąść w pokaes czy podmiejski pociąg. Zwykła podróż służbowa może zmienić się w ekscytującą wyprawę do źródeł szaleństwa.

Oto kraj, w którym jednocześnie śmiejesz się do rozpuku i płaczesz, mówiąc, że to tylko oczy pieką od niewyspania. Innego nie będzie. Dlatego coraz większą wartość znajduję w miejscach nieistotnych, pozbawionych krajobrazu, zabytku i znaczenia dla losów świata.
(fragment)

Jego proza jest artystycznie doskonała, formalnie nienaganna, a tematycznie – niesłychanie istotna, bo przedstawiająca naszą polską rzeczywistość bez retuszu. Pogubioną w błyskawicznie zachodzących zmianach, trudną, niekiedy bolesną. Prawdziwą.

Krzysztof Mastoń, „Rzeczpospolita”

Wydawnictwo
ab

t e r r a i n c o g n i t a

PATRONAT MEDIALNY

TVP 1

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

RADIO **VOX** FM

e!stilo

 papierowe
myśli.pl

INDEPENDENT
POLSKA KULTURA NEZALEŻNA

GEZETA.pl
SERWIS GEOGRAFICZNO-PODRÓŻNICZY

etnosystem.pl

dlaStudenta.pl

9 78-83-7414-848-1



9 788374 148481

cena 34,90 zł